

MINNY

ROZDZIAŁ TRZECI

Stojąc na werandzie tej białej pani, mówię do siebie: Trzymaj język za zębami, żeby nie latał jak łopata. I trzymaj wciągnięty brzuch. Udawaj służącą, co robi to, co się jej każe. Prawdę mówiąc, tak się nerwuję, że chyba w życiu się nie odgryzę, jeśli dzięki temu dostanę tę robotę.

Podciągam pończochę, żeby mi się nie marszczyła przy stopach — ot, problem wszystkich tłustych niskich kobiet na świecie. Powtarzam sobie, co powiedzieć, a co zatrzymać dla siebie, i naciskam dzwonek.

Słysząc bim-bom, delikatne i fantazyjne jak na taką wielką posiadłość na wsi. Dom wygląda jak zamek z szarej cegły, wznosi się w niebo i rozrasta na boki. Po obu stronach trawnika wiadać lasy. Jakby to miejsce trafiło do książki z bajkami, w lasach mieszkałyby czarownice, takie, co zjadają dzieci.

Drzwi z tyłu się otwierają i staje w nich pani Marilyn Monroe, a w każdym razie jakaś jej krewniaczka.

— Witam, przyszedłś w samą porę. Jestem Celia. Celia Rae Foote.

Biała pani wyciąga do mnie rękę, a ja uważnie ją obserwuję. Może i figurę ma jak Marilyn, ale castingu to by nie przeszła. Ma mąkę w żółtych włosach, mąkę w sztucznych, doklejanych rzęsach, i mąkę na tandetnym różowym kostiumie. Stoi w chmurze

mąki, a ten jej kostium jest tak obcisły, że nie mam pojęcia, jak babka oddycha.

— Tak, psze pani. Jestem Minny Jackson. — Obciążam biały mundurek, zamiast uścisnąć jej rękę. Nie chcę się pobrudzić. — Piecze pani coś?

— Jedno z tych dziwacznych ciast z czasopism. — Wzdycha. — Nie za bardzo mi wychodzi.

Wchodzę za nią do domu i tera widzę, że pani Celia Rae Foote wcale tak mocno nie ucierpiała od tej mącznej katastrofy, za to kuchnia wygląda jak po wybuchu bomby. Centymetrowa warstwa mącznego śniegu pokrywa lady, lodówkę z podwójnymi drzwiami i mikser Kitchen-Aid. Taki bałagan działa mi na nerwy. Jeszcze nie dostałam tej pracy, a już się spoglądam na zlew w poszukiwaniu gąbki.

— Chyba muszę się sporo nauczyć — odzywa się panienka Celia.

— Nie da się ukryć — odpowiadam i zara gryzę się w język. Nie odszczekuj się tej białej pani jak tej poprzedniej. Tak się jej odszczekiwałaś, że wylądowała w domu opieki.

Panienka Celia jednak tylko się uśmiecha i zmywa mąkę z rąk w pełnym naczyniu zlewie. Zastanawiam się, czy znowu trafiłam na głuchą, jak pani Walters. Dobrze by było.

— Jakoś nie mogę się odnaleźć w gotowaniu — mówi, i mimo jej cichego hollywoodzkiego głosu Marilyn od razu słyszę, że jest z zapadłej wsi. Patrzą się w dół i widzę, że głupia baba nie ma na sobie butów, całkiem jak jaka biała hołota. Porządne białe panie nie latają po domu na bosaka.

Jest jakie dziesięć albo piętnaście lat młodsza ode mnie — dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata — i naprawdę ładna, ale po kiego gryzba jej to paskudztwo na twarzy? Zakład, że wsmarowuje w nią ze dwa razy więcej podkładu niż inne białe panie. I jest bardziej przysadzista, w sumie prawie taka gruba jak ja, tyle że ma mało w tych miejscach, gdzie ja mam dużo. Oby

lubiła jeść — w końcu jestem kucharką i dlatego ludzie mnie zatrudniają.

— Napijesz się czegoś zimnego? — pyta. — Usiądź, coś ci przyniosę.

Zaczynam załapywać, że dzieje się tutaj coś dziwnego.

— Leroy, ona chyba jest stuknięta — powiedziałam, jak zadzwoniła do mnie trzy dni temu i spytała, czy mogę przyjść na rozmowę w sprawie pracy. — Przecie kaźden jeden w mieście myśli, że ukradłam srebra pani Walters. Ona na bank też, bo rozmawiała z panią Walters przez telefon, jak tam byłam.

— Biali są dziwni — odparł Leroy. — Może staruszka cię przed nią pochwaliła.

Uważnie patrzę się na panienkę Celię Rae Foote. Nigdy w życiu żadna biała nie zaproponowała mi, żebym usiadła, a ona przyniesie mi coś zimnego do picia. Kurde, zaczynam się zastanawiać, czy ta głupia baba naprawdę chce zatrudnić pomoc domową, czy tylko dla hecy ciągnęła mnie taki szmat drogi.

— Może wpierw obejrzymy dom, psze pani.

Uśmiecha się, całkiem jakby myśl, żebym obejrzała dom, co go mam sprzątać, nigdy nie przyszła jej do natapirowanej głowy.

— Tak, oczywiście. Chodźmy, Maxie, pokażę ci, jaką mamy luksusową jadalnię.

— Mam na imię Minny — mówię.

Może nie jest głucha ani stuknięta, tylko normalnie głupia. Znowuż odżywa we mnie nadzieja.

Prowadzi mnie przez ten wielki, stary, beznadziejny dom i non stop gada, a ja idę za nią. Na dole jest dziesięć pokoi, w jednym z nich stoi wypchany grizzly i wygląda tak, jakby zeżarł ostatnią służącą i szykował się na następną. Na ścianie wisi nadpalona konfederacka flaga w ramie, a na stole widzę stary srebrny pistolet z wygrawerowanym napisem: „Generał Konfederacji John Foote”. Zakład, że pradziadek Foote pogonił nim paru niewolników.

Idziemy dalej i dom zaczyna wyglądać jak każdy jeden przyjemny dom białych, tyle że ten jest największy, w jakim w ogóle byłam. Od metra tu brudnych podłóg i zakurzonych dywaników, takich, co je zwykli ludzie mają za zniszczone i stare, ale ja tam umiem rozpoznać zabytki. W niejednym eleganckim domu pracowałam. Oby baba nie była aż tak wsiowa, żeby nie uznawać odkurzacza.

— Mama Johnny'ego nie pozwoliła mi niczego ozdobić. Gdybym mogła urządzić dom po swojemu, leżałby tu ogromny biały dywan i złote dodatki, i nie byłoby żadnych staroci.

— Skąd jest pani rodzina? — pyta.

— Jestem z... Sugar Ditch. — Jej głos już nie brzmi tak wesoło. Sugar Ditch to najgorzej, jak można trafić w Missisipi, może nawet w całych Stanach. Leży w Tunica County, tuż obok Memphis. Raz widziałam w gazecie zdjęcia tamtejszych ruder — nawet białe dzieciaki wyglądały tak, jakby z tydzień nic nie miały w gębach.

Panienska Celia próbuje się uśmiechnąć.

— Pierwszy raz zatrudniam pomoc — mówi.

— Widać, że się przyda. — Dosyć, Minny...

— Bardzo się ucieszyłam z referencji pani Walters. Opowiedziała mi o tobie. Podobno nikt w mieście tak dobrze nie gotuje.

To ma zero sensu. Po tym numerze, co go wykręciłam paniencie Hilly, i to na oczach pani Walters?

— Mówiła... o mnie co jeszcze?

Ale panienska Celia już wchodzi na wielkie kręcone schody. Idę za nią na górę, na długi korytarz oświetlony promieniami słońca, co wpadają przez okna. Chociaż są tu dwie żółte sypialnie dla dziewczynek, a też i niebieska i zielona dla chłopców, to jasne, że w domu nie mieszkają żadne dzieci. Nic tylko kurz.

— W głównym budynku mamy pięć sypialni i pięć łazienek. — Pokazuje palcem okno i widzę wielki niebieski

basen, a za nim drugi budynek. Serce zaczyna mi walić jak młotem.

— No i jeszcze ten basen — wzdycha.

W tym momencie wzięłabym cokolwiek, co by mi wpadło w ręce, ale w takim wielgachnym domu powinni sporo płacić. Nie mam nic naprzeciwko temu, że będę urobiona po łokcie, nie boję się pracy.

— Kiedy będą jakieś maluchy, żeby zapełniły te łóżka? — Staram się uśmiechać, być przyjazna.

— Och, planujemy dzieci. — Odchrząkuje, nerwowo bawi się palcami. — To znaczy, tylko dla nich warto żyć. — Patrzy się na swoje stopy i dopiero po chwili rusza ku schodom. Idę za nią i zauważam, że kurczowo trzyma się poręczy przy schodzeniu, jakby się bała spaść.

Dopiero z powrotem w jadalni panienska Celia zaczyna kręcić głową.

— To okropnie dużo pracy — mówi. — Te wszystkie sypialnie i piętrowe...

— Tak, psze pani, dom jest duży — potakuję, myśląc jednocześnie, że jakby zobaczyła mój dom z łóżeczkiem dziecka w sieni i jedną ubikacją dla sześciu tyłków, wiałaby, gdzie pieprz rośnie. — Ale energii mi nie brakuje.

— No i te wszystkie srebra do czyszczenia...

Otwiera kredens na srebra, wielkości mojego salonu, poprawia przekrzywioną świecę w świeczniku, i nagle już łapię, skąd to powątpiewanie na jej twarzy.

Jak miasto dowiedziało się o kłamstwach panienski Hilly, trzy panie z rzędu odłożyły słuchawkę po tym, jak się przedstawiłam. Szykuję się na cios. No już, weź to wreszcie zrób, paniusiu. Powiedz, co myślisz o mnie i swoich srebrach. Płakać mi się chce na myśl o tym, jak bardzo pasowałaby mi ta robota, i o tym, co zrobiła panienska Hilly, żebym jej nie dostała. Wbijam wzrok w okna i modlę się, żeby to nie był koniec rozmowy w sprawie pracy.

— Tak, wiem, okna są strasznie wysokie. Jeszcze nigdy nie próbowałam ich myć.

Wypuszczam powietrze z płuc. Okna to dla mnie o wiele bezpieczniejszy temat niż srebra.

— Żadnych okien się nie boję. Co cztery tygodnie czyszczę okna u pani Walters, od góry do dołu.

— Ma jedno piętro czy więcej?

— Jedno... ale sporo z nimi roboty. W starych domach jest pełno różnych niespodzianek, sama pani wie.

W końcu wracamy do kuchni. Obie gapimy się na stół, żadna jednak nie siada. Tak się nerwuję zastanawianiem się, co baba myśli, że pot mi wychodzi na czoło.

— Ma pani duży, piękny dom — mówię. — I daleko od miasta. Sporo tu roboty.

Zaczyna się bawić swoją obrączką.

— Zapewne u pani Walters było znacznie łatwiej, niż byłoby tutaj. To znaczy, teraz jesteśmy tylko my, ale kiedy pojawią się dzieci...

— Bierze pani pod uwagę inne pomoce domowe?

— Sporo ich się tu przewinęło — wzdycha. — Ale jeszcze nie znalazłam... odpowiedniej.

Patrzy się w bok i zaczyna obgryzać paznokcie. Czekam, aż powie, że i ja nie jestem odpowiednia, ale tylko tak stoimy i wdychamy mączyste powietrze. W końcu wykładam ostatnią kartę, szeptem, bo już nic mi nie zostało.

— Wie pani, odeszłam od pani Walters, bo ona idzie do domu opieki. Nie zwolniła mnie.

A ta tylko gapi się na swoje bose stopy. Ma brudne podeszwy, bo nie czyszczono tu podłóg, odkąd się wprowadziła do tego wielkiego brudnego domu. To jasne, że ta kobieta mnie nie chce.

— No cóż, dziękuję, że przejechałaś taki szmat drogi. Mogę przynajmniej zwrócić ci za benzynę?

Podnoszę torebkę i wkładam pod pachę. Panienska Celia

posyła mi radosny uśmiech, najchętniej starłabym go jej z twarzy. Niech szlag trafi Hilly Holbrook.

— Nie, psze pani, nie, nie może pani.

— Wiedziałam, że będę miała krzyż pański ze znalezieniem kogoś, ale...

Stoję i słucham, jak udaje zmartwioną, ale myślę sobie, kończ już, paniusiu, bo muszę powiedzieć Leroyowi, że wynosimy się na bieżący północny, gdzie zamieszkamy obok Mikołaja i gdzie nikt nie słyszał kłamstw Hilly o mnie.

— ...na twoim miejscu też bym nie chciała sprzątać w takim wielkim domu.

Patrzę się jej prosto w oczy. Tera to już przesadziła, kłamiąc, że Minny nie dostanie pracy, bo nie chce.

— Kto pani powiedział, że nie chcę tu pracować?

— W porządku, pięć innych pomocy mówiło mi, że tu jest za dużo do zrobienia.

Patrzę się w dół, na swoje sto pięćdziesięciopięciocentymetrowe siedemdziesiąt pięć kilo żywej wagi, wylewające się z mundurka.

— Za dużo dla mnie?

Mryga oczami.

— Wzięłabyś... wzięłabyś tę pracę?

— Myśli pani, że jechałam taki szmat drogi tylko po to, żeby zmarnować benzynę? — Zamykam usta. Nie zawał tera, kiedy daje ci szansę. — Panienko Celio, z przyjemnością będę dla pani pracowała.

Ta wariatka śmieje się i chce mnie uściskać, ale robię krok w tył, żeby wiedziała, że ja się tak nie zachowuję.

— Zara, zara, wpierw musimy omówić kilka spraw. Musi mi pani powiedzieć, kiedy mam przychodzić i... takie tam. — Na przykład, ile mi pani zapłaci.

— Chyba wtedy, kiedy będziesz chciała przyjść — mówi.

— Dla pani Walters pracowałam od niedzieli do piątku.

Panienka Celia znowu obgryza paznokciec na różowym małym palcu.

— Nie możesz przychodzić w weekendy.

— Dobrze. — Chciałabym pracować jak najwięcej, ale może później pozwoli mi obsługiwać jakieś przyjęcie czy co. — No to od poniedziałku do piątku. O której chce mnie pani widzieć?

— A o której chciałabyś przyjeżdżać?

Dotąd nigdy nie miałam takiego wyboru. Mrużę oczy.

— Może być ósma? O tej godzinie przychodziłam do pani Walters.

— Dobrze, ósma jest idealna. — I dalej stoi, jakby czekała na mój następny ruch.

— Tera powinna mi pani powiedzieć, o której będę kończyć.

— O której? — pyta Celia.

Przewracam oczami.

— To pani ma zdecydować, panienko Celio, tak to działa.

Przetyka ślinę, jakby bardzo starała się to zrozumieć. Ja chcę jak najszybciej to załatwić, nim zmieni zdanie.

— Może o czwartej? — mówię. — Pracuję od ósmej do czwartej i mam trochę czasu na lunch.

— Tak będzie dobrze.

— A tera... musimy porozmawiać o zapłacie — mówię i zaczynam ruszać palcami w butach. Niewiele musi płacić, skoro pięć pomocy już odmówiło.

Żadna z nas nic nie mówi.

— Proszę, panienko Celio. Ile mąż pozwala pani zapłacić?

Wbija wzrok w robota kuchennego, co z niego na bank nie umie korzystać, i mówi:

— Johnny nie wie.

— No dobrze. Pani go dzisiaj zapyta, ile chce zapłacić.

— Nie, Johnny nie ma pojęcia, że zatrudniam pomoc.

Szczęka opada mi do pasa.

— Jak to nie wie?

— Nie powiem Johnny'emu. — Szeroko otwiera niebieskie oczy, jakby śmiertelnie się go bała.

— A co robi pan Johnny, jak wróci do domu i natknie się na kolorową kobietę w swojej kuchni?

— Przepraszam, ale naprawdę nie mogę...

— Powiem pani, co zrobi. Weźmie tamten pistolet z góry i położy Minny trupem na tej niewoskowanej podłodze.

Panienska Celia tylko głową kręci.

— Nie powiem mu.

— No to na mnie pora.

Psiakość, wiedziałam. Wiedziałam, że jest stuknięta, jak tylko stanęłam w tych drzwiach...

— To nie tak, że go oszukuję czy coś. Po prostu potrzebna mi pomoc...

— No jasne, że potrzebna pani pomoc. Ostatnia dostała kulkę w głowę.

— Za dnia nigdy nie wpada do domu. Po prostu zajmiesz się większymi porządkami i nauczysz mnie, jak przyrządzać kolacje. To potrwa tylko parę miesięcy...

Czuję swąd i widzę dym wydostający się z piekarnika.

— A potem co, po paru miesiącach mnie pani odprawi?

— Potem... Potem mu powiem. — Krzywi się na samą myśl o tym. — Proszę. Chciałabym, żeby myślał, że sama to wszystko potrafię, i że... że warto było się o mnie starać.

— Panienko Celio... — Kręcę głową. Nie mogę uwierzyć, że już się kłócę z tą kobietą, chociaż nie przepracowałam tu ani minuty. — Chyba spaliła pani ciasto.

Chwyta ściereczkę, biegnie do piekarnika i próbuje wyjąć formę.

— Auuu! Szlag by to!

Kładę torebkę i odsuwam z drogi panienskę Celię.

— Nie wolno łapać gorącej formy mokrą ściereczką.

Biorę suchą ścierkę i wyciągam spalone ciasto, a potem stawiam je na cementowym schodku.

Panienka Celia patrzy się na swoją sparzoną dłoń.

— Pani Walters mówiła, że świetna z ciebie kucharka.

— Staruszka zjadała dwie fasolki i mówiła, że już się najadła. Nie mogłam niczego w nią wmusić.

— Ile ci płaciła?

— Dolar za godzinę. — Trochę wstyd. Pięć lat i nawet nie dostawałam minimalnej płacy.

— No to ja będę płaciła dwa.

Z wrażenia wypuszczam całe powietrze z płuc.

— O której rano pan Johnny wychodzi z domu? — pytam, wycierając masło rozpuszczające się wprost na ładzie zamiast chociażby na talerzu.

— O szóstej, nie bardzo lubi bawić się w pana domu. Potem wraca prosto z biura nieruchomości koło piątej.

Szybko przeliczam w myślach i wychodzi mi, że nawet przy krótszej pracy więcej zarobię niż poprzednio. Z drugiej strony, nic nie dostanę, jak mnie zastrzelą.

— To skończę o trzeciej — mówię. — Dam sobie dwie godziny rano i dwie wieczorem, żeby trzymać się z dala od niego.

— Dobrze. — Panienka Celia kiwa głową. — Tak będzie bezpieczniej.

Podnosi ciasto z cementowego schodka za kuchennymi drzwiami i wrzuca je do papierowej torby.

— Będę musiała to zagrzebać w koszu, żeby nie zobaczył, że znowu coś spaliłam.

Biorę od niej torebkę.

— Pan Johnny nic nie zauważy, bo wyrzucę je u siebie.

— Och, dziękuję. — Panienka Celia kręci głową, jakby to była najmilsza rzecz, jaką kto dla niej zrobił. Zwija ręce w piąstki i trzyma je pod brodą.

Idę do swojego auta i siadam w zapadniętym fotelu forda, co

za niego Leroy wciąż płaci swojemu szefowi dwanaście dolarów na tydzień. Okropnie mi ulżyło, bo w końcu znalazłam sobie pracę i nie muszę się wynosić na biegun północny.

Święty Mikołaj pięknie z rozpaczy.

SIADAJ NA PUPIE, Minny, bo będę ci mówić, jak trzeba pracować w domu białej pani.

Miałam czternaście lat, równo co do dnia. Usiadłam przy małym drewnianym stole w kuchni mamy, gapiąc się na tort karmelowy, co stygł na kratce, jeszcze bez lukru. W całym roku tylko w swoje urodziny mogłam jeść tyle, ile chciałam.

Miałam właśnie rzucić szkołę i iść do pierwszej prawdziwej pracy. Mama wołała, żebym się dalej uczyła i przeszła do dziewiątej klasy. Kiedyś marzyła o tym, żeby zostać nauczycielką, a nie pracować w domu pani Woodra, ale przez problemy z sercem mojej siostry i przez wiecznie pijanego tata nieroba wszystko było na głowie mamy i mojej. Znałam się na prowadzeniu domu, bo po szkole głównie ja sprzątałam i robiłam nam jedzenie. Skoro jednak miałam pracować w cudzym domu, kto będzie się zajmował naszym?

Mama wzięła chwyciła mnie za ramiona, żebym się patrzyła na nią, a nie na tort. Ostra była z niej babka, i bardzo porządna, nic od nikogo nie chciała. Zaczęła potrząsać palcem tak blisko mojej twarzy, że zrobiłam zeza.

— Zasada numer jeden pracy dla białej pani, Minny: nikomu nic do tego. Trzymasz się z dala od problemów białej pani i nie przybiegasz do niej z płaczem ze swoimi — nie masz z czego zapłacić za światło? Nogi cię bolą? Zapamiętaj sobie jedno: biali nie są twoimi przyjaciółmi i nie chcą tego słuchać. A jak biała pani przyłapie męża z sąsiadką, trzymasz się z dala od tego, rozumiesz?

Zasada numer dwa: biała pani nigdy nie może natknąć się na ciebie, jak siedzisz na jej sedesie. Nieważne, nawet jeśli tak ci się chce, że popuszczasz uszami. Jak nie ma osobnej ubikacji

dla służby, znajdziesz chwilę, jak nie będzie białej pani, i zrobisz swoje w łazience, z której ona nie korzysta.

— Zasada numer trzy... — Mama chwyta mnie za brodę i ciągnie, bo tort znowu zaczął mnie kusić. — Zasada numer trzy: jak gotujesz jedzenie dla białych, próbuj inną łyżką. Jeśli włożysz właściwą łyżkę do ust, myśląc, że nikt się nie patrzy, a potem wetkniesz ją znowu do garnka, równie dobrze możesz wszystko wyrzucić.

— Zasada numer cztery — codziennie korzystaj z tego samego kubka, widelca i talerza. Trzymaj je w osobnej szafce i powiedz białej, że odtąd będziesz używała właśnie tylko tych rzeczy.

Zasada numer pięć — jesz w kuchni.

Zasada numer sześć — nie bijesz jej dzieci. Biali wolą sami spuszczać manto własnym dzieciom.

Zasada numer siedem — to już ostatnia, Minny. Czy ty mnie słuchasz? Żadnego pyskowania.

— Mamo, wiem, jak...

— Och, czasem, kiedy myślisz, że nie słyszę, mamrociesz o tym, że musisz przeczyścić rurę w kominie albo że dla biednej Minny został tylko maciupeńki kawałeczek kurczaka. Napyskuj białej z rana, a po południu trafisz na ulicę.

Widziałam, jak się zachowywała mama, kiedy pani Woodra odwoziła ją do domu — tak, psze pani, nie, psze pani, bardzo dziękuję, psze pani. Dlaczego miałabym taka być? Umiem się postawić.

— A teraz chodź tu i uściśnij mamę w swoje urodziny. Boże, aleś ty ciężka, Minny!

— Cały dzień nic nie jadłam, mogę torta?

— Nie „torta”, tylko „tortu”, mów poprawnie. Nie wychowałam cię na prostaczkę.

W pierwszy dzień u mojej białej pani zjadłam swoją kanapkę z szynką w kuchni i postawiłam swój talerz na wyznaczonym dla mnie miejscu w kredensie. Jak ta mała wiedźma zwinęła mi

torebkę i schowała ją w piekarniku, nie stłukłam jej tyłka. Potem jednak biała pani powiedziała:

— Teraz musisz sobie wbić do głowy, że najpierw trzeba ręcznie wyprać wszystkie ubrania, a dopiero potem włożyć je do pralki.

— Po co mam je ręcznie prać, skoro pralka załatwi sprawę?
— zapytałam. — W życiu nie słyszałam o większej stracie czasu.

Biała pani uśmiechnęła się do mnie, a pięć minut później wylądowałam na ulicy.

JAK PRACUJĘ u panienki Celii, zdążam rano odprowadzić swoje dzieci do podstawówki, a wieczorem po powrocie wykroić trochę czasu dla siebie. Nie zdrzemnęłam się od narodzin Kindry w pięćdziesiątym siódmym, ale przy pracy w tych godzinach, od ósmej do trzeciej, mogłabym kimać każdego dnia, jakby to był mój ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. Do panienki Celii nie dojeżdża żaden autobus, no to muszę brać auto Leroya.

— Nie możesz dzień w dzień jeździć tam autem, kobieto. A jak trafi mi się dzienna zmiana i będę musiał...

— W każdy jeden piątek płaci mi siedemdziesiąt dolarów gotówką, Leroy.

— To może wezmę rower Sugar.

We wtorek, dzień po rozmowie o pracę, parkuję z dala od domu panienki Celii, za rogiem, żeby nie było widać auta. Szybko przechodzę przez pustą drogę i już jestem na podjeździe. Nic nie jedzie.

— Jestem, panienko Celio. — Wtykam głowę do jej sypialni i ją widzę, podpartą poduszkami, z idealnym makijażem na twarzy i w obcisłych wieczorowych ciuchach, chociaż jest wtorek rano. Czyta bzdury w „Hollywood Digest” z takim przejęciem, jakby to była Biblia.

— Witaj, Minny! Miło cię widzieć — mówi, a ja się zjeżam, bo co to ma być, że biała taką przyjaciółkę udaje.

Rozglądam się po sypialni, szacuję, ile będzie roboty. Jest wielka, wyłożona kremowym dywanem, stoi w niej żółte łoże z baldachimem i dwa pękate żółte fotele. Całkiem tu porządkie, żadnych ubrań na podłodze, a łoże nakryto narzutą, koc na krzesła też ładnie złożony. Ale i tak patrzę się uważnie, rozglądam się, bo czuję pod skórą, że coś tu nie gra.

— Kiedy zabierzemy się do pierwszej lekcji gotowania? — pyta.

— Myślę, że za parę dni, jak pójdzie pani do sklepu i kupi, czego nam trzeba.

Zastanawia się nad tym przez chwilę i mówi:

— Może ty powinnaś iść, Minny, bo wiesz, co kupić, i w ogóle.

Patrzę się na nią. Większość białych kobiet woli sama robić zakupy.

— Dobrze, pójdę rano.

Widzę mały różowy włochaty dywanik, leży na dywanie przed drzwiami łazienki. Jakoś to nie wygląda. Żadna tam ze mnie dekoratorka, ale nawet ja wiem, że różowy dywanik nie pasuje do żółtego pokoju.

— Panienko Celio, nim pójdę, muszę wiedzieć, kiedy dokładnie zamierza pani powiedzieć o mnie panu Johnny'emu?

Panienska Celia patrzy na czasopismo na swoich kolanach.

— Myślę, że za parę miesięcy. Wtedy powinnam już umieć gotować i jeszcze parę innych rzeczy.

— Parę, czyli dwa?

Przygryza umalowane wargi.

— Myślałam raczej o... czterech.

Co takiego? Nie będę pracowała przez cztery miesiące jak jakaś zbiegła kryminalistka.

— Nie powie mu pani przed sześćdziesiątym trzecim? O nie, psze pani, musi być przed Gwiazdką.

— Dobrze — wzdycha. — Ale tuż przed.

Zaczynam liczyć: — Czyli to będzie sto... szesnaście dni. Wtedy mu pani powie — za sto szesnaście dni od dzisiaj.

Patrzy się na mnie z niepokojem, marszczy brwi. Pewno do głowy jej nie przyszło, że pomoc domowa może być taka dobra z matematyki.

— W porządku — mówi w końcu.

Wtedy tłumacząc jej, że powinna iść do salonu i dać mi tutej popracować. Jak znika, rozglądam się po wysprzątanym pokoju. Bardzo, bardzo powoli otwieram szafę — i, tak jak myślałam, na głowę spada mi z pół setki rzeczy. Potem zaglądam pod łóżko i widzę tam mnóstwo brudnych ciuchów. Mogę się założyć, że od miesięcy niczego nie prała.

Każda jedna szuflada to katastrofa, każda jedna szpara pełna jest brudnych ubrań i zwiniętych pończoch. Znajduję piętnaście pudełek z nowymi koszulami dla pana Johnny'ego, żeby się nie połapał, że jego żona nie umie prać ani prasować. W końcu podnoszę ten dziwny różowy dywanik i aż mnie skręca na widok wielkiej, głębokiej plamy koloru rdzy.

W TO POPOŁUDNIE panienska Celia i ja szykujemy listę posiłków na ten tydzień, a w następne rano robię zakupy. Zajmuje mi to dwa razy więcej czasu jak zwykle, bo muszę przejechać szmat drogi do Jitney Jungle, sklepu dla białych w mieście, zamiast kupować w Piggly Wiggly. Sama kombinuję, że baba nie zje nic ze sklepu dla kolorowych i w sumie wcale się jej nie dziwię. Tamtejsze ziemniaki mają ponaddwucentymetrowe oczka, a mleko jest prawie skwaśniałe. Jak przychodzę do pracy, jestem gotowa się kłócić, wyliczać wszystkie powody, dla których się spóźniłam, ale panienska Celia leży na łóżku jak poprzednio i uśmiecha się, jakby to nigdy nic. Znowuż jest wystrojona i nigdzie się nie wybiera, ale przez bite pięć godzin czyta czasopisma. Wstaje tylko po szklankę mleka albo na siusiu.

O nic nie pytam, ja tu tylko sprzątam.

Jak załatwię kuchnię, idę do głównego salonu. Staję w progu i długo, uważnie patrzę się na tego grizzly. Ma ponad dwa metry i szczyrzy zębiska, szpony są długie, zakrzywione, jak u czarownicy. Przy jego nogach leży nóż myśliwski z rączką z kości. Podchodzę bliżej i widzę, że futro jest mechate od kurzu, a między zębami misiek ma pajęczynę.

Najpierw próbuję usunąć kurz miotłą. Jest gęsty, wbity w futro, więc tylko suwam go z miejsca na miejsce. Biorę szmatkę i usiłuję przetrzeć niedźwiedzia, jednak piszczę za każdym razem, jak dotknę ręką jego sierści. Ci biali! Wszystko już czyściłam, od lodówek po tyłki, ale czemu ta kobieta myśli, że potrafię wyczyścić przeklętego grizzly?

Idę po odkurzacza, a potem wysysam brud z niedźwiedzia. W paru miejscach cug był za mocny i przeredził sierść, ale uważam, że całkiem, całkiem mi poszło.

Po mišku odkurzam eleganckie książki, co ich nikt nie czyta, guziki z konfederackiego płaszcza i srebrny pistolet. Na stoliku stoi oprawiona w złotą ramkę fotografia pani Celi i pana Johnny'ego przed ołtarzem. Przyglądam mu się uważnie, żeby sprawdzić, co to za typ. Mam nadzieję, że jest krótkonogim tłuściochem, co by było wskazane, jakby mi przyszło przed nim zmykać, ale niedoczekanie — jest silny, wysoki, potężny, a na dodatek go znam. Słodki Jezu! Toż to ten sam gość, co chodził z panią Hilly przez pierwsze lata mojej pracy dla pani Walters. Nigdy nie byłam mu przedstawiona, ale widziałam go tyle razy, że poznaję. Trzęsę się i boję trzy razy bardziej niż wcześniej. Samo to mówi o tym człowieku więcej niż słowa.

O PIERWSZEJ panią Celia przychodzi do kuchni, mówi, że jest gotowa na pierwszą lekcję gotowania i siada na stołku. Wystroiła się w czerwony obcisły sweter, czerwoną spódnicę, a jej makijaż przeraziłby uliczną dziwkę.

— Co pani wie o gotowaniu? — pytam.

Zastanawia się, marszczy czoło.

— Może powinniśmy zacząć od początku.

— Coś musi pani wiedzieć. Czego uczyła panią mama, jak pani dorastała?

Patrzy się na swoje stopy w siatkowych pończochach i mówi:

— Umiem zrobić chleb kukurydziany

Nic nie poradzę, wybucham śmiechem.

— Co jeszcze pani umie poza tym chlebem?

— Ugotować ziemniaki — mówi prawie szeptem. — I mamałygę. Tam, gdzie mieszkałam, nie było prądu, ale jestem gotowa się nauczyć, na prawdziwej kuchence.

Boże drogi. Nigdy nie spotkałam białego, co by mu się powodziło gorzej jak mnie. Może poza stukniętym panem Walym — mieszka za sklepem z chińszczyzną i żywi się kocią karmą.

— Dzień w dzień karmi pani męża mamałygą i chlebem kukurydzianym?

Panienka Celia kiwa głową.

— Ale nauczysz mnie dobrze gotować, prawda?

— Spróbuję — odpowiadam, chociaż nigdy nie mówiłam żadnej białej kobiecie, co ma robić, i nawet nie wiem, jak zacząć. Podciągam pończochę i myślę. Koniec końców pokazuję palcem pojemnik na ladzie.

— Jeśli ma pani wiedzieć cokolwiek o gotowaniu, to przede wszystkim to.

— To zwykły tłuszcz, prawda? — pyta.

— Nie, to nie jest zwykły tłuszcz — mówię. — To największy kuchenny wynalazek od czasu kupnego majonezu.

— A co jest takiego wyjątkowego — marszczy nos — w świńskiej słoninie?

— To nie słonina, tylko tłuszcz roślinny. — Jak można nie znać crisco? — Nie ma pani pojęcia, ile mogłaby pani z nim zrobić.

— Smażyć? — Wzrusza ramionami.

— Nie tylko. Przykleiło się kiedyś pani do włosów coś lepkiego, jak guma? — Stukam palcem w crisco. — No właśnie, pomoże crisco. Jak się tym posmaruje pupę niemowlaka, to w życiu nie dostanie pieluszkowego zapalenia. — Wrzucam trzy porcje crisco na czarną patelnię. — A niech mnie, widziałam, jak panie wsmarowują to pod oczy i w łuszczące się stopy mężów.

— Popatrz, jak ładnie — mówi. — Jak biały lukier.

— Można tym wziąć wyczyścić klej po metce z ceną albo nasmarować skrzypiące zawiasy w drzwiach. Jak odetną prąd, starczy wetknąć tu knot i będzie świeca jak się patrzy.

Zapalam gaz i patrzymy się obie, jak crisco rozpuszcza się na patelni.

— A po tym wszystkim nadal może pani usmażyć na nim kurczaka.

— W porządku. — Próbuje się porządnie skupić. — Co dalej?

— Kurczak moczył się w maślanecy — mówię. — Tera mieszymy suche.

Do podwójnej papierowej torby sypię mąkę, sól, jeszcze soli, pieprz, paprykę i kapkę pieprzu cayenne.

— Tera proszę włożyć kawałki kurczaka do torebki i mocno potrząsnąć.

Panienka Celia wkłada udko i wymachuje torebką.

— O tak? Tak jak w reklamie panierki Shake'n Bake w telewizji.

— Tak — mówię i przejeżdżam językiem po zębach, bo jak to nie jest zniewaga, to już sama nie wiem, co nią jest. — Tak jak w reklamie Shake'n Bake.

Nagle nieruchomieję, bo słyszę warkot silnika na drodze. Stoję jak słup soli i wyteżam słuch. Widzę, że panienka Celia szeroko otwiera oczy i też słucha, a obie myślimy to samo: co będzie, jak to on, i gdzie się schowam?

Samochód przejeżdża i znowuż możemy oddychać.

— Panienko Celio — cedzę przez zęby. — Dlaczego nie może pani powiedzieć o mnie mężowi? Nie zorientuje się, jak jedzenie zacznie mu smakować?

— Och, nie pomyślałam o tym! Może powinnyśmy trochę przypalić kurczaka.

Patrzę się na nią spode łba. Nie będę przypalała żadnego kurczaka. Nie odpowiedziała mi na pytanie, ale prędzej czy później to z niej wyciągnę.

Bardzo ostrożnie kładę mięso na patelni. Skwierczy, jakby śpiewało, i patrzymy się, jak udka brązowieją. Spoglądam się na panienkę Celię, uśmiecha się do mnie.

— Co? Mam coś na twarzy?

— Nie. — W jej oczach pojawiają się łzy, dotyka mojego ramienia. — Po prostu dziękuję Bogu, że tu jesteś.

Zabieram ramię spod jej ręki.

— Panienko Celio, powinna pani dziękować za znacznie więcej.

— Wiem. — Patrzy się na swoją elegancką kuchnię z taką miną, jakby to było jakie świństwo. — Nigdy nie sądziłam, że aż tyle będę miała.

— No, szczęściara z pani.

— Nigdy nie byłam szczęśliwsza.

Nic nie mówię. Pod tym całym szczęściem nie wydaje się zbyt szczęśliwa.

W TEN WIECZÓR dzwonię do Aibileen.

— Panienska Hilly była wczorej u pani Leefolt — mówi. — Pytała, czy kto wie, gdzie pracujesz.

— O rany, jak mnie tu znajdzie, wszystko zepsuje.

Minęły dwa tygodnie od Potwornego Okropieństwa, co je zrobiłam tej kobiecie. Musi marzyć o tym, żeby mnie z miejsca wywalono z roboty.

— Co Leroy na to, że znalazłaś pracę? — pyta Aibileen.

— Psiakość. Biegał po kuchni jak wyskubany kurczak, bo były przy tym dzieciaki — mówię. — Udaje, że on jeden utrzymuje rodzinę, a ja zdycham z nudów i dlatego pracuję. Za to potem, jak leżeliśmy w łóżku, myślałam, że ten mój super-samiec się poryczy.

Aibileen chichota.

— Leroy jest bardzo dumny.

— Tak. Muszę tylko dopilnować, żeby pan Johnny mnie nie nakrył.

— Nie mówiła ci, czemu nie chce mu powiedzieć?

— No bo niby próbuje go przekonać, że umie gotować i sprzątać, ale nie o to się rozchodzi. Coś przed nim ukrywa.

— Patrz, jak się wszystko ułożyło. Panienska Celia nikomu nie powie, bo pan Johnny by się dowiedział, a panienska Hilly się nie dowie, bo panienska Celia będzie milczała. Sama byś tego lepiej nie ustawiła.

— Uhm — mówię tylko. Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę, w końcu to Aibileen nagrała mi tę robotę. Ciągłe jednak myślę o tym, że narobiłam sobie dodatkowych kłopotów, wpierw przez panienkę Hilly, a tera to jeszcze przez pana Johnn^yego.

— Minny, miałam cię zapytać... — Aibileen chrząka. — Znasz panienkę Skeeter?

— To ta wysoka, co przychodziła do pani Walters na brydża?

— Ta. Co o niej myślisz?

— Bo ja wiem? Biała, jak i cała reszta. A co? Coś mówi o mnie?

— O tobie nic — odpowiada Aibileen. — Tylko że... parę tygodni temu... Sama nie wiem, czemu o tym myślę. Zapytała mnie o coś... zapytała, czy chciałabym coś zmienić. Białe nigdy nie pytały...

W tej samej chwili przyłazi Leroy z sypialni i domaga się kawy przed nocną zmianą.

— Psiakość, już wstał — mówię. — Gadaj prędko.

— Nie, to nic takiego. Nic.

— Co? Co jest? Co ci ta pani mówiła?

— Takie tam. Bzdury.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W pierwszy tydzień u pani Celi pucuję dom, aż nie ma już ani jednej ściereczki, szmatki czy choćby zużytej pończochy, co bym nią mogła co wyczyścić. W drugi tydzień znowuż wszystko szoruję, bo brud wziął i chyba odrósł. W trzeci tydzień jestem zadowolona i robię swoje.

Dzień w dzień panienka Celia wygląda tak, jakby nie mogła uwierzyć, że przychodzę do pracy. Tylko ja zakłócam ciszę i spokój wkoło niej. W moim domu zawsze jest kupa ludzi, piątka dzieciaków, sąsiedzi i mąż. Zwykle jak przychodzę do panienki Celi, cieszę się z tego spokoju.

W każdej jednej pracy, co ją biorę, tak samo rozdzielałam sobie robotę: w poniedziałki nacieram olejem meble. We wtorki piorę i prasuję przekłętą pościel, wtorków nienawidzę. We środę trzeba porządnie wyszorować wannę, chociaż i tak dzień w dzień ją myję. Czwartek to czyszczenie podłóg i odkurzanie dywaników — te zabytkowe to trzeba wyczesywać szczotką, żeby nitki nie wyszły. Piątek to kupa gotowania na weekend i takich tam. Do tego co dzień mycie mopem, pranie ubrań i prasowanie koszul, żeby mieć wszystko pod kontrolą i żeby było czysto. Jeszcze srebra i okna. Nie muszę się zajmować żadnymi dziećmi, więc mam dużo czasu na tak zwane lekcje gotowania z panienką Celią.

Nigdy nie przyjmuje gości, więc przyrządzamy to, co razem z panem Johnnym zjada na kolację: kotlety wieprzowe, smażonego kurczaka, rostbef, pasztet z kurczaka, jagnięce żeberka, pieczoną szynkę, smażone ziemniaki, piure, no i warzywa. W sumie to ja gotuję, a panienka Celia nerwowo się kręci i bardziej przypomina pięciolatkę niż bogatą damę, co to dzięki niej mam z czego zapłacić czynsz. Po lekcji biegnie znowuż się położyć. Właściwe to wstaje tylko po to, żeby przyjść do kuchni na lekcję albo co dwa czy trzy dni wymknąć się na górę, do tych okropnych pokoiów.

Nie wiem, co robi przez pięć minut na piętrze. Mi się tam nie podoba. W tych sypialniach powinna być kupa dzieciaków, co by się śmiały, darły i obfajdały cały dom. Ale to nie moja sprawa, jak panienka Celia spędza czas, i szczerze mówiąc, dobrze, że nie wchodzi mi w drogę. Chodziłam już za paniami ze szczotką w jednej ręce i koszem na śmieci w drugiej, żeby nadażać ze sprzątaniami bałaganu, jaki robiły. Dopóki panienka Celia leży na łóżku, brak pracy mi nie grozi, bo chociaż ma zero dzieciaków i nic do roboty, to najleniwsza kobieta, jaką w życiu widziałam. Nawet bardziej leniwa jak moja siostra Doreena. Jak dorastałyśmy, palcem nie kiwnęła z powodu wady serca — jak się potem okazało, tą wadą była mucha w aparacie rentgenowskim.

Nie tylko o łóżko się rozchodzi. Panienka Celia opuszcza dom tylko po to, żeby zrobić sobie pasemka i podciąć włosy. Jak dotąd zdarzyło się to raz, choć robię tu od trzech tygodni. Mam trzydzieści sześć lat, a wciąż słyszę, jak mama mówi: „Nikommu nic do tego”.

Ale ja chcę wiedzieć, czego ta kobieta tak się boi na zewnątrz.

W KAŻDY DZIEŃ ZAPŁATY odliczam przed panienką Celią:

— Jeszcze dziewięćdziesiąt dziewięć dni i powie pani o mnie panu Johnny'emu.

— Och, ależ ten czas szybko leci — odpowiada z taką miną, jakby jej było niedobrze.

Dzisiaj na werandę przypętał się kot, a ja mało zawału nie dostałam, bo byłam pewna, że pan Johnny wrócił.

Im bliżej do tej daty, tym bardziej nerwowo reagujemy i ja, i panienska Celia. Nie wiem, co zrobi ten człowiek, jak mu o mnie powie. Może każe jej mnie zwolnić?

— Mam nadzieję, że wystarczy nam czasu, Minny. Myślisz, że jestem lepsza w gotowaniu? — pyta się, a ja patrzę się na nią.

Ma ładny uśmiech, białe i równe zęby, ale to najgorsza kucharka pod słońcem. Trochę się naginam i uczę ją najprostszych rzeczy, bo chcę, żeby coś umiała, i to szybko. Musi przecież wyjaśnić mężowi, czemu gruba Murzynka ma klucze do jego domu i czemu dzień w dzień trzyma w rękach jego srebra i miliardokaratowe rubinowe kolczyki panienski Celi. Musi to wiedzieć, nim w pewien piękny dzień wróci do domu i zadzwoni po policję — albo zaoszczędzi na połączeniu i weźmie sprawy w swoje ręce.

— Proszę wyjąć golonkę. Proszę sprawdzić, czy w garnku jest wystarczająco dużo wody, o tak. Tera proszę zapalić gaz. Widzi pani tą bańkę? To znaczy, że woda bulgocze z radości, taka szczęśliwa.

Panienska Celia gapi się w garnek, jakby mogła tam odczytać własną przyszłość.

— A ty jesteś szczęśliwa, Minny?

— A co to znowuż za pytanie?

— Jesteś czy nie?

— Jasne, że jestem szczęśliwa. Pani też jest. Wielki dom, wielki ogród i mąż, co się panią zajmuje. — Marszczę czoło tak, żeby zobaczyła. Biali nie powinni się zastanawiać, czy są wystarczająco szczęśliwi.

Jak panienska Celia przypala fasolkę, staram się wykazać opowianiem, co bez niego przyszłam na świat, jak mówi mama.

— No dobra — mamroczę przez zęby. — Zrobimy następną porcję, nim pan Johnny wróci.

Jakby to była która z tych kobiet, co dla nich wcześniej pracowałam, cieszyłabym się komenderowaniem. Wreszcie bym się przekonała, jak im się podoba spełnianie rozkazów. Ale panienka Celia patrzy się na mnie tymi wielkimi oczami, jakbym była najwspanialszą rzeczą pod słońcem od czasu wynalezienia lakieru do włosów w sprayu, i prawie wolę, żeby to ona wydawała mi polecenia, tak jak powinna. Zaczynam się zastanawiać, czy jej wylegiwanie się po całych dniach ma co wspólnego z tym, że nie mówi panu Johnny'emu o mnie. Chyba zauważa moje podejrzliwe spojrzenie, bo pewnego dnia, ni z tego, ni z owego, mówi:

— Ciągłe mi się śnią koszmary, że wracam do Sugar Ditch i muszę tam mieszkać. Dlatego tyle leżę. — Szybko kiwa głową, jakby to sobie powtarzała. — Bo w nocy nie mogę spać.

Uśmiecham się głupekowato, jakbym w to wierzyła, i wracam do wycierania luster.

— Nie rób tego za porządnie, zostaw trochę smug.

Zawsze coś jest niedokończone — lustra, podłogi, brudna szklanka w zlewie czy przepełniony kosz na śmieci.

— To musi wyglądać wiarygodnie — powtarza panienka Celia, a ja setny raz już, już sięgam po brudną szklankę, żeby ją umyć. Lubię, jak wszystko jest czyste i na swoim miejscu.

— CHCIAŁABYM ZAJĄĆ SIĘ tamtym krzakiem azalii — mówi raz panienka Celia. Przeniosła się z leżeniem na kanapę, jak lecały moje programy, i cały czas przeszkadza. Nastawiam „Inspirację” od dwudziestu sześciu lat, kiedy byłam dziesięciolatką i słuchałam tej audycji w radiu mamy.

Leci reklama Drefta, a panienka Celia wygląda przez tylne okno na czarne, co zgarnia liście. Ma tyle azalii, że wiosną jej ogród będzie wyglądał jak z *Przeminęło z wiatrem*. Nie lubię azalii, a jeszcze bardziej nie lubię tego filmu, bo pokazali tam

niewolnictwo jak jeden wielki wesoły piknik. Jakbym to ja grała Mammy, kazałabym Scarlett wsadzić sobie te zielone zasłony w chudy biały tyłek. I niechby sama sobie uszyła suknię-pułapkę na facetów.

— Wiem, że ten krzak róży by rozkwitł, gdybym go podcięła — ciągnie panienka Celia. — Ale przede wszystkim ścięłabym to drzewko mimozy.

— A co jest źle z tym drzewkiem? — Przyciskam brzeg żelazka do czubka kołnierzyka pana Johnny'ego. W moim ogródku nie ma nawet krzaka, a co dopiero drzewka.

— Nie podobają mi się te włochate kwiaty. — Gapi się w przestrzeń, jakby się jej w głowie pomieszało. — Wyglądają jak włosy niemowlęcia.

Ciarki mnie przechodzą, jak wygaduje takie rzeczy.

— Zna się pani na kwiatkach?

— Zajmowałam się swoimi kwiatami w Sugar Ditch. — Wzdycha. — Nauczyłam się je uprawiać, bo miałam nadzieję, że zdołam upiększyć tamtejszą brzydotę.

— No to pani wyjdzie przed dom. — Staram się, żeby to nie brzmiało zbyt gorliwie. — Trochę się pani porusza i przewietrzy.

Pani się stąd wyniesie.

— Nie. — Znowuż wzdycha. — Nie powinnam biegać po ogrodzie, muszę nieruchomo leżeć.

Naprawdę zaczyna mi działać na nerwy to, że nigdy nie wychodzi, że uśmiecha się, jakby służąca, co przychodzi w każde jedno rano, była najlepszym, co ją spotyka. Dzień w dzień wyciągam rękę, ale nie mogę tego podrapać. Dzień w dzień coraz bardziej śwędzi. Dzień w dzień ona jest tutaj.

— Może się pani z kim zaprzyjaźni? — mówię. — W mieście jest mnóstwo pań w pani wieku.

— Próbowałam. — Patrzy się na mnie i krzywi. — Nie masz pojęcia, ile razy dzwoniłam do tych pań, żeby zapytać, czy

mogę im pomóc przy balu dobroczynnym albo zrobić coś dla nich w domu. Nigdy nie oddzwoniły, żadna z nich.

Nic nie mówię, bo wcale mnie to nie dziwi. To przez ten jej biust na wierzchu i włosy ufarbowane na kolor Bryłka Złota.

— No to proszę iść na zakupy, po jakie nowe ubrania. Pani zrobi to, co robią białe, jak domem zajmuje się pomoc.

— Nie, chyba trochę odpocznę — mówi i dwie minuty później słyszę, jak łązi po pustych pokojach na górze.

Gałąz mimozy wali w okno, a ja podskakuję i parzę sobie kciuk. Zaciskam powieki, żeby uspokoić serce. Jeszcze dziewięćdziesiąt cztery dni tej męczarni, a ja nie wiem, jak wytrzymam choćby minutę.

MAMA, zrób mi co do jedzenia, głodna jestem. — To wczorej we wieczór powiedziała moja najmłodsza, pięcioletnia Kindra. Z ręką na biodrze i wysuniętą stopą.

Mam piątkę dzieciaków i bardzo jestem dumna, że nauczyłam je mówić „poproszę”, nim czego zażądają.

Nauczyłam wszystkie poza jednym.

— Nic nie dostaniesz przed kolacją — powiedziałam jej.

— Czemu jesteś dla mnie taka wstrętna? Nienawidzę cię! — wrzasnęła i uciekła.

Wbiłam wzrok w sufit, bo to zawsze szokuje, mimo że mam czwórkę starszych dzieci. Dzień, w którym twoje dziecko mówi ci, że cię nienawidzi — a każde dziecko przez to przechodzi — jest jak kopniak w brzuch.

Ale, Boże drogi, u Kindry to nie jest żaden etap rozwoju. Ta dziewczucha coraz bardziej przypomina mnie.

Stoję w kuchni panienki Celi i myślę o wczorajszym wieczorze, o Kindrze i jej wyzwickach, Bennym i jego astmie, o tym, że mój mąż Leroy w zeszłym tygodniu dwa razy wrócił zalany. Wie, że po dziesięciu latach opieki nad pijanym tatem to jedyne, czego nie znoszę. Mama i ja żeśmy się zaharowywały na śmierć, żeby

miał na flaszkę. Chyba powinnam być tym bardziej przygnębiona, ale wczorej na przeprosiny Leroy wrócił do domu z torbą młodej okry. Wie, że ją uwielbiam. Obtoczę okrę w mące kukurydzianej, usmażę i zjem tak, jak mama nigdy mi nie pozwalała.

To nie jedyna przyjemność dzisiaj. Pierwszy października, a ja obieram brzoskwinie. Mama pana Johnny'ego przywiozła z Meksyku dwie skrzynki brzoskwiń, ciężkich jak piłki do baseballa. Dojrzałe są, słodkie, a nóż wchodzi w nie jak w masło. Normalnie nie przyjmuję podarunków od białych pań, bo wiem, że rozchodzi im się tylko o to, żebym była im co winna, ale jak panienka Celia zaproponowała mi tuzin brzoskwiń, wyciągam torbę i zara je wsadziłam. Jak wrócę dzisiaj do domu, na kolację zjem smażoną okrę, a na deser placek z brzoskwiniami.

Patrząc się na długą, włochatą skórkę w zlewie panienki Celii i w ogóle nie zwracam uwagi na podjazd. Normalnie jak stoję przy kuchennym zlewie, kombinuję nad drogą ucieczki przed panem Johnnym. Kuchnia najlepiej się do tego nadaje, bo frontowe okno wychodzi na ulicę. Wysokie krzewy azalii skrywają moją twarz, ale pomiędzy gałęziami widzę, że ktoś się zbliża. Jakby wszedł drzwiami od frontu, wtedy drzwiami z tyłu związałabym do garażu. Jakby wszedł od tyłu, mogłabym się wyśliznąć głównym wejściem. Drugie drzwi w kuchni prowadzą do ogrodu, tak na wszelki wypadek. Ale sok spływa mi po rękach, aż kręci mi się w głowie od zapachu owoców i tkwię po uszy w brzoskwinowym raj. Nawet nie zauważam niebieskiej furgonetki.

Mężczyzna jest już na środku podjazdu, kiedy podnoszę wzrok. Widzę fragment białej koszuli, takiej jak te, co je dzień w dzień prasuję, i nogawkę spodni w kolorze khaki, takich jak te, co je wieszam w szafie pana Johnny'ego. Tłumię krzyk, nóż z brzdękiem spada do zlewu.

— Panienko Celio! — Wpadam do sypialni. — Pan Johnny wrócił!

Panienska Celia zeskakuje z łóżka prędko jak nigdy, a ja biegam w kółko jak jaka wariatka. Gdzie iść? Którędy? Co z moim planem ucieczki? Nagle podejmuję decyzję — do łazienki dla gości!

Wślizguję się tam i przysmykam drzwi, a potem kucam na muszli klozetowej, żeby nie zobaczył moich nóg w szparze pod drzwiami. Jest gorąco i ciemno, czuję się tak, jakby mi głowa płonęła. Pot spływa po mojej brodzie na podłogę, mdli mnie od mocnego zapachu gardeniowego mydła na umywalce.

Słyszę kroki i wstrzymuję oddech.

Kroki cichną, a moje serce tłucze się jak kot w pralce. A jak panienska Celia uda, że mnie nie zna, żeby uniknąć kłopotów? Będzie się zachowywała, jakbym była włamywaczką? Nienawidzę jej! Nienawidzę tej głupiej baby!

Wyteżam słuch, ale słyszę tylko swoje dyszenie i łomot w piersi. Strasznie bolą mnie stawy w tej pozycji, chyba zara mi trzasną.

Wzrok przyzwyczaja się do ciemności i po chwili dostrzegam swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Kucam jak głupia na sedesie białej pani.

Patrzcie się na mnie. Patrzcie się, jak skończyła Minny Jackson, żeby zarobić na życie.